

Mieczysław Kierklo

S Y L W E T K I

Już od 10 minut Wania stał przede mną i żegnał mnie w najbardziej wyszukanych słowach złodziejskiego żargonu. I szczęśliwej drogi i być może, -nikt nie wie,- ponownego gdzieś spotkania gdy i on wkrótce znajdzie się na wolności. Przypominał, że w ciągu całego pobytu w łagrze nigdy mnie nie zrobił krzywdy, a odwrotnie - zawsze mnie darzył nieklamana sympatią. Jednocześnie raz po raz łypał okiem na moją wyprawę - dwa tuziny słonych śledzi, kilogram sucharów i pewną ilość sera - tylko co wypłacone mi z łagiernego magazynu tego ranka po wypchnięciu za druty obozu na mocy t.zw. „łaskawej amnestii Stalina”.

Wania był jednym z tysięcy pospolitych przestępców, złodziejasków, niebieskich ptaszków, jakich stworzył od dwudziestu i kilku lat system budujący „socjalizm” na gruzach imperium Romanowych. Żyli w swoim własnym przestępczym świecie, rządzeni własnym kodeksem i własnym złodziejskim honorem, wzajemnie pomagając sobie w razie potrzeby. Wyroki ich - w odróżnieniu od więźniów politycznych - nie były wysokie, jeśli w rachubę nie wchodziło mienie państwowe. W Sowieckiej Rosji miało ich każde miasto gnieźdzących się w sobie znanych kryjówkach. Często milicja sowiecka patrzyła na nich przez palce jeśli zachowali pewną miarę i nie wywoływali zbyt głośnych awantur. Złapany na przestępstwie osobnik, otrzymywał wyrok i w więzieniu lub łagrze czekał końca kary. Wypuszczony po odsiedzeniu terminu, wiedział z góry gdzie ma się udać. Tam go czekała dawna ferajna i cykl zaczynał się od nowa.

Za tyle czułości wylanej w słowach nie mogłem oprzeć się, by nie dać mu dwa śledzie i kilka sucharów. Oczy młodego „karmańszczyka”/złodzieja kieszonkowego/ zaświeciły wdzięczności. Odchodząc, raz jeszcze rzucił „szczęśliwoj puti” po czym łapczywie wsadził w usta śledzia, otrzepawszy go wpierw z soli o watowane spodnie...

. . .

Boris Kowalenko przedstawiał sobą typowego Wielkorusa. Nadzwyczaj sentymentalny. Łatwo się zaprzyjaźniał, był wylewny w swoich zwierzeniach. W godzinach wolnych mnie odwiedzał, a siadając na pryczy opowiadał dzieje swego niewesołego żywota. Było ich czterech braci, żyjących razem w kołchozie, w okolicach górnego biegu Wołgi. Kiedy NKWD aresztowało ojca, po kolei przyszła kolej i na synów. Jeden po drugim ginął w łapczywych szponach organów bezpieczeństwa, nic a nic o sobie nie wiedząc. Boris trafił na Workutę, akurat rozwijający się ośrodek węglowy i pracował tutaj przy nadzorze wąskotorowej kolejki, dowożącej węgiel do Peczory, gdzie ładowano go na barki.

Boris bardzo lubił śpiewać, - zwłaszcza gdy się znalazło sporo chętnych słuchaczy - różne nadwołżańskie dumki i melodyjne pieśni rosyjskie, które, biorąc pod uwagę atmosferę panujących czasów, rzeczywiście wprowadzały słuchającego w inny świat i kazały na chwilę zapomnieć o ludzkiej nędzy. Jego ulubioną pieśnią

był utwór o mroźnej północy i zesłanych tam ludzi, oddanych pod władzę często zwyrodniałych kacyków, którzy bezkarnie i bez przyczyny znęcali się różnymi szykanami nad zesłanymi tu więźniami. Podejrzewam, że to Boris skomponował piosenkę, będąc sam ofiarą różnych nadzrądców, od brygadiera do głównego kierownika prac włącznie.

Jak na trudne i twarde warunki łagiernego życia, natura jego była zbyt miękka i mało odporna. Ze stoicyzmem jednak znosił wszelkie przeciwności losu i cierpliwie czekał końca swego wyroku, który miał być wyrokiem 5-letnim. Czy się doczekał nie wiem, bo często po ukończeniu terminu pod byle pozorem wołano osobnika do biura i mówiono mu, że za coś tam dostaje dwuletnią „dobawkę”. Jednak prowadzona wojna mogła zmienić ten zwyczaj.

Pietia Worobjew był solidnym człowiekiem. Solidnym przynajmniej w naszym współżyciu łagiernym. Zresztą większość w tej grupie była elementem spokojnym raczej i dającym możliwość łatwego obcowania bez złośliwego lub wrogiego nastawienia do „inostrancew” /cudzoziemców/. Borisa wyrok wynosił 5 lat. Na wojnie sowiecko-fińskiej w 1940 roku nie chciał zginąć, jak na żołnierza niezwyciężonej Krasnej Armii przystało, ale oddał się do niewoli - czyn nie do przebaczenia w oczach „słoneczka narodów”. Po skończonej wojnie w wymianie jeńców Pietia wracał do ojczyzny. W Leningradzie zbudowano wracającym olbrzymią bramę z podobnie olbrzymim napisem: „Da zdrastwujut gieroje Sowieckowo Sojuza”. Pociąg przejechał przez bramę i... jechał i jechał. Zatrzymał się aż w Kotłasie, tysiąc kilometrów dalej. Tam im wszystkim wyczytano 5-letni wyrok i rozdzielono po łagrach. U nas na Workucie było ich około pięciuset.

Pietia miał się za dobrego - dużo lepszego niż był w istocie - fachowca i szukał okazji by wiedzę swoją zaimponować. Jednego razu zwrócił się do mnie: - Słuchaj, Miszka, czy ty kiedykolwiek pracowałeś w rzeczywiście dużej fabryce, jeśli w ogóle duże fabryki znajdowały się w Polsce? Na moje skinięcie głową, nonszalancko podsunął mi pod nos plan jakiejś części maszyny abym go odczytał. Gdy pozytywnym odczytaniem zaspokoilem jego ciekawość, skrzywił się i rzucił: - może i pracowałeś „no spiec to ty nie osobiennyj”.

Jednego razu kilku z naszej nocnej zmiany urządziło bal w warsztacie. Jeden zdobył kilka ekstra kartofli, drugi parę cebul, a trzeci przyniósł z kuchni, gdzie miał znajomości, kilka rybnych kotletów. Ja oddałem do puli pół paczki „krupczatki”, to jest drobno krajanych korzeni tabaki - produkt wielce ceniony w łagrach - którą zawijało się w kawałek gazety. Ten rodzaj papierosów był bardzo rozpowszechniony zarówno w łagrach jak i po całym Związku Sowietkim. Właśnie na uporczywe żądanie Pieti zostałem przyjęty do uczyty. Podczas przerwy wszyscy usiedliśmy wygodnie wokół starannie pokrajanych i rozłożonych wiktuałów, jedząc z godnością

i bardzo wolno aby ta przyjemność trwała jak najdłużej. Rozmowa toczyła się nieodmiennie o życiu w Polsce, no i o wojnie, która toczyła się jak dotąd ze złym szczęściem dla „niezwyciężonej” armii sowieckiej. Trzeba było mówić ostrożnie, bo pomimo amnestii wciąż mogło stać się coś nieprzewidzianego, co mogło być godnym pożałowania. Gdy wstawaliśmy od jedzenia, ostatnie Pieti pytanie do mnie brzmiało:- Misza, a jak u was było z jedzeniem?...

. . .

Naszym brygadierem w warsztacie był Aleksiej Aleksiejewicz Dubow. Z całą pewnością doświadczony łagiernik biorąc pod uwagę, że pętał się on po różnych łagrach już od 1932 roku. Do długości swego wyroku nie przywiązywał wagi, wiedząc że na wolność nie wyjdzie tak czy inaczej. Uśmiechał się tylko ironicznie jeśli kiedykolwiek mówiono o sowieckiej sprawiedliwości. Był to bardzo inteligentny człowiek o głębokiej wiedzy i szerokiej znajomości świata. Wiedząc, że czerpie wiadomości ze źródeł sowieckich, intrpretował je na swój sposób z krańcowym sceptycyzmem przyjmując wszystko co głosiła oficjalna propaganda. Fakty przyjmował jako fakty ale naświetlenia rządowe przyjmował z niewiarą. Jako brygadier był odpowiedzialnym za prace w warsztacie. Nie widziałem go jednak nigdy aby kogoś nie lubił i z racji tej szykanował pracownika. Polaków lubił i w miarę okazji szukał z nami kontaktów, zwłaszcza ludzi w jego wieku, tj. około lat 45. Nie miał wielkiego przekonania do nas jako siły fachowej. Ale bo to była i siła fachowa - pożał się Boże. Szukając pracy pod dachem kłamali o swoich umiejętnościach i praktyce. Rosyjscy łagiernicy, a między nimi i Aleksiej Aleksiejewicz, szybko poznali polski bluff i w tej materii lekceważyli naszych, lekceważąco mówiąc: -Ech, Polaczki, Polaczki, płochyje i z was mastiera /ech Polaczki, słabe z was majstry/. Sytuację uratował niejaki Kowalewski spod Wołkowyska, czy może i z samego Wołkowyska. Na pytanie Aleksieja Aleksiejewicza co umie, wyrzucił z siebie jednym tchem:- Od mostu do zegarka! Przysłuchujący się Rosjanie ryknęli śmiechem.

- Patrzcie, jeszcze jeden majster! Ale Kowalewski udowodnił, że majstrem był. Po wykonaniu pierwszej bardzo trudnej i kilku następnych powierzonych mu prac, po 8 dniach był już z-cą brygadiera.

Wkrótce potem Aleksiej Aleksiejewicz został gdzieś przeniesiony. Mnie został obraz porządnego, skrzywdzonego przez nieludzki system - człowieka.

. . .

Jurij Siergiejewicz Odojewskij, nie wiadomo dlaczego, był patologicznym wrogiem Polaków. Ilekroć tylko miał okazję, a w warunkach łagiernych o okazję nie było trudno, wrogość tę okazywał i udowadniał swoim postępowaniem. Nasi go nieraz o to pytali, ale on się nie tłumaczył a swoje robił. Podawał się za inżyniera z wykształcenia chociaż nie myślę aby to była prawda. Być może po jakichś krótkich sowieckich kursach, którymi rząd chciał pozatykać braki spowodowane wyniszczeniem inteligencji i sił fachowych podczas i po rewolucji.

O tym jego tytule „inżyniera” nawet rosyjscy pracownicy wyrażali się z wyraźnym lekceważeniem. Ale ostatecznie nas to nie obchodziło, natomiast irytowała niekiedy jego zła wola i okazywanie wyższości, gdy przyszło nad czymś pracować we dwójkę. Ci z naszych, którym nie była potrzebna jego pomoc, po prostu Odojewskiego ignorowali.

Ogłoszenie amnestii wywarło na nim piorunujący efekt. Nie mógł ukryć swego żalu do władz sowieckich, a złości i zazdrości w stosunku do nas. „Kakojje eto prawitielstwo”/ co za rząd/, który zapomina o swoich, a pamięta o cudzych. Od tego czasu, aż do pierwszego zwolnienia nie ominął okazji aby nas nie wyśmiać, że zostaliśmy oszukani. Trudno było oponować znając oszustwa stalinowskiej ery. Kiedy jednak zostaliśmy zgrupowani w jednym baraku dla Polaków, w którym pewnego dnia po dłuższym niż miesiąc oczekiwaniu, dyżurny o czwartej nad ranem wywołał nazwiska pierwszej grupy i wypchnął ją za druty obozowe - Odojewski nie odezwał się słowem, milcząco pracując nad przydzieloną mu pracą.

Takim go zostawiłem, przeżywającego gorzkie myśli i impregnowanego złością, gdy ostatni raz wychodziłem z mechanicznego warsztatu na workuckiej kopalni.